

JAK MAM BYĆ EKUMENISTA ?

W zeszycie 32 „Pracy nad sobą” dwa artykuły - Andrzeja Siemianowskiego i brata Pawła - mówią o ekumenii jako o współpracy kościołów chrześcijańskich, nie zaś jako o dążeniu do jedności organizacyjnej. Pokazywałem ten zeszyt znajomemu. Ten się sprzeciwił ich treści powołując się na znaną ewangeliczną opowieść o synu marnotrawnym (Łukasz 15: 11-32; nie muszę jej przytaczać; znamy ją wszyscy) twierdząc, że należy ją rozumieć jako wezwanie do powrotu na łono jednego Kościoła, tego pierwotnego, potwierzonego najstarszą tradycją, słowem tego „prawdziwego”.

Należy tak myśleć: Ojciec, to ten prawdziwy Kościół, a synowie marnotrawni, to ci z innych kościołów. Niech wrócą do tego jednego i będzie jedność i rodzinna miłość.

Zacząłem więc myśleć.

Któryż to jest ten pierwotny, prawdziwy Kościół?

Niewątpliwie ten o najstarszej tradycji. Nie wiem, może w ogóle na świecie najstarszą tradycję reprezentuje Apostolski Kościół Ormiański, może Jakobicki, może Koptyjski a może któryś inny z kościołów tak zwanych przedchalcedońskich. Nie jestem znawcą egzotycznych wyznań.

Ograniczam się więc w rozważaniach do Polski. Tu strażnikami najstarszych tradycji chrześcijańskich są niewątpliwie bracia prawosławni. Przecież jeszcze 1000 lat temu wszystkie reprezentowane dziś w Polsce nurty chrześcijańskie były częścią jednego Powszechnego Kościoła Prawosławnego. Potem część Kościoła odłączyła się od prawosławia przez trwanie przy *filioque* i przez przyznanie szczególnych atrybutów jednemu biskupowi. Potem

wewnątrz tego odszczepienia powstały dalsze podziały i mamy sytuację, jaką widzimy w Polsce i krajach zachodnich na co dzień. Przy takim zrozumieniu przypowieści o marnotrawnym synu, prawosławie miałyby prawo powiedzieć: wracajcie do nas, a będzie jedność!

Ale każdy z innych kościołów działających w Polsce też potrafiłby przedstawić ważne argumenty, że to on jest najprawidłowszy, i właśnie ci inni - „synowie marnotrawni” - powinni przyjąć do niego.

Tak wszyscy rozumując nie zwiększylibyśmy poczucia jedności chrześcijan, przeciwnie - podsyłilibyśmy niechęci i rozbiecie. Tego rodzaju wykładnia dzisiejszej Ewangelii byłaby zresztą błędna choćby i dlatego, że w terminologii biblijnej słowo „Ojciec” nie symbolizuje Kościoła, lecz Boga.

Przypowieść o synu marnotrawnym, owszem, gotów bym zastosować do problemów ekumenii raczej w inny sposób.

Bóg nas kocha i my powinniśmy mu odpowiedzieć miłością za miłość, a ponieważ nikt z nas Boga nie widział, więc tę miłość powinniśmy uzewnętrznić w miłości do innych ludzi. To wynika chociażby z listu św. Jana (1 Jana 4:7-12). Czy kochamy według ojcowskiej woli wszystkich ludzi, a chociażby tylko chrześcijan wszystkich wyznań? Jeśli nie, jeśli nie wypełniamy życzenia ojcowskiego, to właśnie my jesteśmy tymi marnotrawnymi dziećmi. Pobieramy swoją część ojcowskiego majątku - (korzystamy z miłości Boga do nas), a nie dbamy o ojcowską posiadłość (nie szczyjemy tej miłości dalej).

Zamiast kochać ludzi kochamy wyłącznie inne rzeczy: własną teologię, własne obrzędy, własną tradycję, a nieraz po prostu nie same te rzeczy, ale ich materialne przejawy. A tak działając pracujemy dla innego gospodarza, karmimy dobytek innego pana, nie Pana Boga.

Ale każdy z nas jest tylko częściowo dzieckiem marnotrawnym, bo przecież nie ma wśród nas chyba nikogo, kto by

nie kochał, a przynajmniej nie miał sympatii do pewnych szczególnych osób i wybranych grup osób, również spoza swojego wyznania.

Powiedziałbym więc: nie jestem w całości synem marnotrawnym, ale ten marnotrawny syn siedzi we mnie - częściowo.

Zarazem każdy z nas jest trochę tym drugim, wiernym synem, też wspomnianym w przypowieści, który usilnie dba o majątek ojca, ale protestuje, gdy ojciec zastawia ucztę z racji powrotu syna marnotrawnego. No bo jakże to wychodzić z sercem ku marnotrawnemu? Coś z tego wiernego syna też jest we mnie. I kiedy opowiadają, że ojciec wychodzi z miłością do ludzi którzy wierzą inaczej niż ja uważam, że wierzyć trzeba; zwłaszcza kiedy mówią, że Bóg kocha, i to kocha jednakowo nie tylko heretyckich chrześcijan, ale nawet żydów, muzułmanów, hinduistów, buddystów, animistów i kogo tylko... to się coś we mnie burzy.

Owszem, Ojczy, można im rzucić jakiś datek, ale zaprosić na ucztę? Nie!

I jako ten syn marnotrawny i jako ten syn wierny często naśladujemy właśnie w obu to, co jest w nich złe.

* * *

Więc może zmienimy nasze usposobienie i na przykładzie obu synów naśladujemy to, co w nich dobre.

Naśladując syna marnotrawnego, co marnotrawił okazane mu materialne dowody miłości ojcowskiej, nawróćmy się. Opamiętajmy się, Porzućmy tego gospodarza, który nam każe gardzić chrześcijanami wierzącymi inaczej niż my wierzymy i modlącymi się inaczej niż my się modlimy.

Powiedzmy naszemu Ojcu: Ojczy, nie jestem godzien abyś Ty mnie kochał, bo ja nie słuchałem Twoich poleceń, nie starałem

się wzbudzać pełnej miłości do innych braci chrześcijan, ale wybacz mi i przyjmij mnie na służbę tak, jak pozwalasz służyć sobie tym, którzy stoją bardzo daleko od tej wiary, którą ja uważam za prawidłową.

Zaś naśladując drugiego syna, tego zawsze wiernego, posłuchajmy upomnienia ojcowskiego i nie odtrącajmy ani w czynach ani w myślach tych, co są - najbardziej nawet - odlegli od nas w wierze, a którzy chcą się do nas zbliżyć.

Pomóżmy im, ułatwmy im zbliżenie właśnie przez to, że okazemy im braterską miłość. A okazmy ją nie czekając na ich pierwszy krok, ale sami umiejmy - gdy jest okazja - wyjść im naprzeciw. Przecież i Ojciec wyszedł naprzeciw marnotrawnego syna.

Jan Apostoł słusznie pisze, że Boga trudno kochać, bo nikt Go nie widział. Zaś innych ludzi widzimy. W telewizji, w ilustrowanych czasopismach widzimy nawet bardzo odległe ludy należące do innych kultur, cywilizacji, religii. Nabierzmy przekonania, że Bóg ich kocha. Stąd i na nas spada powinność miłości bliźniego.

A wtedy, gdy coraz silniej przez miłość do ludzi przejawimy miłość do Boga, poczujemy, że nas chrześcijan różnych wyznań, coś wyróżnia z całości ludzkości. Wyróżnia nas, łączy nas szczególna wspólnota zadań wobec innych. Zadań pochodzących od wspólnego impulsu miłości danego nam przez naszego jedynego Mistrza - Jezusa Chrystusa. I wtedy - my chrześcijanie - poczujemy się zjednoczeni w Chrystusie mimo, że należymy do różnych ziemskich organizacji kościelnych.

brat Teodomir

ZŁOTO PIERWSZEJ PRÓBY

*Panie, Ty wiesz, że
potrzeba mi złota Pierwszej Próby*

*Nie kupię go nigdzie
Przekonałem się
o tym
szukając go
w kramach
okolicznych złotników*

*Tylko u Ciebie
mogę Go nabyć.*

*Dziś już nikt
nie sprzedaje
Złota Pierwszej Próby*

Aleksander Korwin-Szymanowski

CZY SIE MOZNA SAMEMU ZBAWIC ?

*Z własnego prawa bierz nadania
I z własnej woli sam się zbaw!
(polska wersja „Międzynarodówki”)*

Jak widać problem samozbawienia jest mocno zakorzeniony w myślach ludzkich, skoro nawet ateistyczni marksiści uznali go za wystarczająco dla wszystkich zrozumiały, aby stał się symbolicznym wezwaniem w ich hymnie. Oczywiście tłumacz Międzynarodówki używając tu teologicznego terminu 'zbawienie' myślał o zbawieniu

cielesnym, czyli o wybawieniu od ucisku tutaj, na Ziemi, w tym doczesnym życiu, czego miała dokonać zbrojna rewolucja. Czego dokonała - wiemy i o tym nie będziemy tu rozmawiać.

Zajmiemy się natomiast sprawą możliwości samoistnego zbawienia duszy. Problem nie jest nowy i częściowo dotykaliśmy go już w „Pracy nas sobą”, ale chcę go jeszcze raz omówić z nieco innego punktu widzenia.

SWIAT JEST NIE TAKI JAK BYC POWINIEN

Myśleć o zbawieniu mogę tylko wtedy, gdy uważam, że w jakimś przynajmniej sensie mój stosunek do świata nie jest prawidłowy, że coś we mnie (czy może wokół mnie?) zakłóca mój stosunek do całości, gdy odczuwam pewną dysharmonię we własnym losie, gdy nie jestem szczęśliwy z mojego wstawienia w życie, w społeczeństwo, w otaczającą przyrodę... Dopóki wszystko co się ze mną dzieje uważam za właściwe, dopóki wszystko mnie cieszy, nie widzę potrzeby szukania jakiegoś zbawienia. Podobno istnieją ludzie rzeczywiście absolutnie z wszystkiego zadowoleni, ale ja takich nie spotkałem. W dalszym ciągu będę się tu więc zajmował takimi, którzy nie ze wszystkiego są zadowoleni. Ot chociażby martwi ich fakt, że muszą umrzeć, a ponadto cierpią z powodu chorób, nie posiadania tego co by chcieli, zawodów uczuciowych i tym podobnych. Niektórzy z nich mówią sobie „tak musi być” i nie myśląc dalej idą przez życie, inni szukają pocieszenia w tradycyjnych praktykach religijnych, ale póki je traktują tylko tradycyjnie też nie znajdują w nich pełnego zadowolenia

Że nie wszystko „jest dobrze” odczuwali ludzie od bardzo dawna. Istniała jakaś pamięć stanu pierwotnego szczęścia. Niektórzy nazywali te pierwotne, szczęśliwe czasy złotą erą, a Naród Wybrany - zgodnie z Pismem Świętym - nazywał Ogrodem Edenu. Trwała tęsknota za tym stanem i nadzieja, że kiedyś taki stan będzie znów mógł zapanować. Tymczasem istniały tylko nie do końca wydarzone wysiłki budowania szczęścia własnego -

przeważnie kosztem nieszczęścia innych. Ale i wielcy despoty, poświęcający życie innych dla swoich celów musieli umierać i uważano, że również na tamtych świecie nie są w pełni szczęśliwi, choć szczęśliwsi od „zwykłych” ludzi. Grecy - i wiele innych narodów - nawet Bogom przypisywali, spory, kłótnie i walki, wymuszane i bolesne ustępowanie sobie pierwszeństwa.

Naród Wybrany Izraelski wiedział, że zło, że nieprawidłowości świata pochodzą stąd, że ludzkość swojego czasu wybrała nieprawidłową drogę, przestąpiła wolę Boga i została wygnana z Ogrodu Edenu. Wśród innych narodów świata istniało wiele odmiennych poglądów na powody nieszczęścia i na możliwości uzyskiwania względnego szczęścia. Można by napisać o tym wiele artykułów. Wszelkie cierpienie było przekleństwem. Za przekleństwo uważano każdą chorobę - zwłaszcza nieuleczalną. Szukano bezskutecznie sposobów na choć częściowe pozbycie się tego przekleństwa. Można by wiele pisać również o tych poszukiwaniach. Tu zamierzam zwrócić tylko uwagę na bardzo ciekawą postać z przełomu VI i V wieku przed Chrystusem - księcia Siddhartę Gautamę Buddę.

WSPÓLCZUCIE Z CIERPIĄCYMI

Książę Gautama spędził dzieciństwo i wczesną młodość w pałacu, gdzie usuwano przed nim starannie wszelkie oznaki nieszczęść. Dbano aby nigdy nie zobaczył nikogo chorego, cierpiącego, smutnego. Kiedyś jednak to udawanie musiało się załamać. Książę wyszedł z pałacu. Zetknął się z chorobą, zetknął ze śmiercią. Wtedy zrezygnował z władzy. Doznał oświecenia umysłu i jako wędrowny mnich-nauczyciel skupił koło siebie innych mnichów - uczniów i dał początek wielkiemu ruchowi religijnemu - buddyzmowi.

Nie zamierzam tu wyklądać całości podstawowych nauk Gautamy Buddy. Chcę tylko zwrócić uwagę, że wskazał on drogę do pozbycia się własnego cierpienia przez wyrzeczenie się pragnień. Kto niczego nie ma i niczego nie pragnie ten nie zaznaje smutku z utraty lub z nieposiadania czegoś. Każde pragnienie - nawet to

chwilowo zaspokojone - wiąże się wcześniej czy później z cierpieniem. Ideałem buddyjskim nie jest naprawianie świata, lecz odsunięcie się od niego przez wyzbycie się wszelkich pragnień, nawet pragnienia nie odczuwania bólu fizycznego. Sam Gautama Budda - według jednej z legend - zmarł zatruty nieświeżą wieprzowiną, jaką go ugościł pewien wieśniak. Konał uśmiechając się i błogosławiąc wieśniakowi za ostatni posiłek jaki ten podał Buddzie.

Budda uczył o współczuciu dla cierpiących. Nie kazał jednak cierpiącym pomagać, ale uczyć ich - jeśli zechcą być pouczeni - jak się wyzbyć cierpienia. Gdy nakarmisz głodnego, po pewnym czasie będzie on znów głodny. Gdy wzbogacisz biednego, kiedyś - jeśli nie wcześniej, to przy śmierci - on bogactwo straci. Jeśli natomiast nauczysz go niczego nie pragnąć - pozbawisz go raz na zawsze wszelkich cierpień. Buddyści mają systemy ćwiczeń duchowych, prowadzących - po długotrwałej pracy wewnętrznej, przy dużym wysiłku - do wyzbycia się odczuwania cierpień.

Czy wyzbycie się cierpienia, czy zaniechanie wszelkiego działania jest przywróceniem ogrodu Edenu? Nie! Tam było obiektywne szczęście człowieka i przyrody. Budda mógł uczyć tylko jak wśród otaczającego, złego świata samemu nie tyle zyskać szczęście, ile wyzwolić się od cierpienia. Pamiętajmy to było pięć stuleci przed wcieleniem Syna Bożego, Jezusa Chrystusa. Cóż więcej można wtedy było zdziałać? Gautama Budda był człowiekiem i nie potrafił świata zbawić, nie usiłował też tego zrobić. Zdziałał wszystko co wtedy było możliwe. Przez nauczanie, że cierpiący zasługują nie na pogardę ale na współczucie przygotował glebę pod przyjęcie nauki Chrystusa. Zwłaszcza Ewangelia świętego Łukasza jest pod wieloma względami jakby dopełnieniem nauk Gautamy Buddy, dopełnieniem, którego sam Gautama nie był w stanie dokonać.

POMÓZ CIERPIĄCEMU

Zbawić świat mogła tylko bezpośrednia ingerencja Boża. Zrobił to Jezus Chrystus - Bóg i Człowiek zarazem. Zbawcza ofiara Chrystusa nie spowodowała natychmiastowej przemiany świata, jak się tego spodziewała większość Narodu Wybranego, ale dała impuls do tego, aby świat zaczął się przemieniać, aby pomału budowane było przez ludzi Królestwo Boże na Ziemi, którego pełną realizacją będzie Nowe Jeruzalem, gdzie nie tylko nie będzie już żadnego cierpienia, ale radosna współpraca z Bogiem.

Jezus Chrystus nauczał nie tylko o współczuciu z cierpiącymi, tak jak to robił Gautama Budda, ale uczył aby to współczucie było czynne. Znamy wszyscy przypowieść o miłosiernym Samarytaninie (Łukasz 10:30-37) i rozumiemy płynącą z niego naukę. Ten kto okryje nieodzianego, nakarmi głodnego, opatrzy chorego, wprawdzie nie usunie ostatecznego cierpienia, ale jego wysiłek nie pójdzie na marne. Jego wysiłek tworzenia dobra choć w małym zakresie, zostanie wbudowane przez zbawcze siły Chrystusa w Nowe Jeruzalem przygotowujące się w światach duchowych, ale mające w przyszłości zstąpić na ziemię. Słowa Chrystusa, że ten, kto nakarmił łaknącego, napoił pragnącego, przyjął nieproszonego gościa, okrył nieodzianego, opatrzył chorego, odwiedził więźnia, ten uczynił to wszystko samemu Chrystusowi (Mateusz 25:35,36), można rozumieć również w ten sposób, że taki uczynek wykonany przez przyjęcie (świadome lub nawet podświadome) impulsu Chrystusowego, staje się w Jego rękach budulcem dla Nowego Jeruzalem. To się stało możliwe dopiero w wskutek Ofiary Chrystusa. On nie tylko otworzył niebo, miejsce czasowej szczęśliwości dla tych, co przyjmują Jego miłosierdzie, ale dał możliwość budowania Nowego Jeruzalem, które będzie czymś więcej niż powtórzeniem Ogrodu Edenu. Tam człowiek nieświadomy jeszcze wielu rzeczy był tylko Bożym dzieckiem. W Nowym Jeruzalem świadomy człowiek będzie po powszechnym zmartwychwstaniu Bożym współpracownikiem.

Chrystus otworzył człowiekowi niebo. To była pierwsza część Radosnej Nowiny, którą świat stosunkowo najłatwiej przyjął. Niebo otwarte! Więc myśl człowieku o własnym zbawieniu! Można

być zbawionym przez Miłosierdzie Boże. Pierwszym człowiekiem, któremu Chrystus powiedział „Dziś ze mną będziesz w raju” nie był ktoś sprawiedliwy, ale zbrodniarz, skazany na śmierć który prosił Go o Miłosierdzie (Łukasz 23:39-43). A co ze sprawiedliwymi? Objawienia Dzieła Miłosierdzia Bożego mówią o drodze Miłosierdzia, ale i o drodze sprawiedliwości. >>Jeśli odrzucą Miłosierdzie, osiągnie ich sprawiedliwość<<. (*Dzieło Miłosierdzia* s.28, *Początek zawiązku*, akapit 47). Tu wprawdzie jest mowa o tych, co nie docenią Miłosierdzia. Ale jeśli ktoś wielbiąc Miłosierdzie Boże będzie się usilnie starał być zbawionym przez własne dobre uczynki, to czy zbawiony być może? A może - zapyta ktoś - mamy robić złe rzeczy właśnie po to, aby skorzystać z Miłosierdzia?

DOPRACOWAC SIĘ DOSKONAŁOŚCI?

Gautama Budda był człowiekiem doskonałym na swoją epokę. Czy w obecnej epoce człowiek doskonały nie może być zbawiony przez własne dobre działania, przez usilną pracę nad sobą? Pomyślmy.

Wyobraźmy sobie, że sobie powiem tak: „Wiem, że Chrystus otworzył niebo, że w przyszłości ześle z nieba Nowe Jeruzalem dla sprawiedliwych, że gotów w swojej ofierze zniweczyć grzechy wszystkich grzeszników. Ale ja nie chcę nadużywać tak wielkiej ofiary. Chcę własnym wysiłkiem stać się człowiekiem doskonałym”. Czy wtedy nie zostanę zbawiony? Chrystus otworzył drogę miłosierdzia, ale przecież nie zamknął drogi sprawiedliwości.

Nie mówmy już o tym, że droga pracy nad sobą w oparciu wyłącznie o własne, ludzkie siły jest niewymownie trudna. Przyjmijmy, że ktoś ma niezmiernie rozwinięty rozum potrafiący bezbłędnie odróżniać dobro od zła, że ma silnie rozbudzone uczucie aby kochać wszystko, co istnieje i niezmiernie silną wolę, aby konsekwentnie wykonywać wszystkie postanowienia. Załóżmy dalej, że taki człowiek ma wytrwałość, aby przez lata udoskonalać się coraz bardziej. Zna swoje przeszłe niedoskonałości, grzechy, ale z

nich już się dawno oczyścił. Nie wróci do nich. Stał się doskonałym człowiekiem. Czy jest w pełni szczęśliwy?

Im więcej pracujemy nad sobą tym bardziej rozumiemy zło naszych przeszłych win. Jeśli zrobiłem coś złego, to przez zły przykład, przez zadanie bólu innym spowodowałem również złe postęпки innych. Każdy zły postępek ma dalsze zło następstwa. Mogłem przez niesłychany wysiłek zniszczyć skutki moich złych działań w sobie, ale nie zniszczyłem tego zła, które z nich powstało w świecie. Ze mnie ktoś wziął zły przykład. Przeze mnie ktoś słał w świat złe myśli, wypowiadał złe słowa, robił w złości złe rzeczy. To zło się rozeszło jak koła po wodzie. Nie mogę ich zebrać z powrotem i zniszczyć. Przeze mnie inni pozostają niedoskonalimi, nieszczęśliwymi. Jestem wobec tego faktu bezsilny. W pełni zbawiony, w pełni szczęśliwy mogę być tylko, gdy będę wiedział, że nikt przeze mnie nie stał się nieszczęśliwym. Chyba, żebym się zadowolił szczęściem egoistycznym, szczęściem lucyferycznym.

ZŁO ŚWIATA I NOWE JERUZALEM

Jest jednak ktoś, kto jest panem również przeszłości. >>Oto Branek, Który głodzi grzechy świata<< powiedział Jan Chrzciciel (Jan 1:29) - nie tylko grzechy w ludziach ale i grzech rozlany w świecie. Modlimy się we Mszy Świętej: o wybawienie >>od wszelkiego zła, przeszłego, teraźniejszego i przyszłego<< (Mszał Eucharystyczny - modlitwa po „Ojcze nasz”, to samo również w *Missale Romanum ex decreto Sacrosancti Concilii Tridentini*). On może i On chce spowodować aby moje grzechy były w pełni odpuszczone, to znaczy aby ich skutki nie tylko we mnie, ale również skutki w świecie, przestały istnieć. Dopiero gdy się to stanie, gdy wszyscy będą szczęśliwi, będę w pełni szczęśliwy, w pełni zbawiony.

Czy zamieszkanie w Nowym Jeruzalem, które zstąpi z nieba, będzie już epoką powszechnego szczęścia, powszechnym zbawieniem wszystkich? Ech, jeszcze nie. Apokalipsa mówi symbolicznie, że będzie

tam rosło drzewo, którego liście >>będą ku zbawieniu narodów<< (Apokalipsa 22:2). A więc nie wszyscy jeszcze będą zbawieni, ale Ci którzy przez dążenie ku dobremu w oparciu o działanie Miłosierdzia Bożego staną się mieszkańcami Nowego Jeruzalemu będą pracowali radośnie nad zbawieniem, uzdrowieniem reszty ludzkości i wiedząc o tym, że się to wszystko kiedyś urzeczywistni będą żyli przedsmakiem przyszłego szczęścia.

Losy świata, możliwości rozwoju człowieka są zamierzone na bardzo długie epoki.

* * *

Pewnie ktoś zechce jeszcze zapytać: no dobrze, ludzie wcześniej zbawieni będą pracować nad zbawieniem pozostałych. Kiedyś wszyscy, którzy zechcą, będą zbawieni. Ale co z takimi ludźmi, którzy zdecydowanie nie pragną zbawienia, a co ze zwierzętami, które tyle cierpiały i cierpią, a co ze złymi duchami, których życie nie jest bynajmniej wesołe?

Każde z tych pytań zawiera w sobie wiele pomniejszych problemów. Większości z nich nie potrafimy nawet porządnie sformułować. Odchodzimy tu zbyt daleko od tego, co interesuje nas bezpośrednio. Chyba trochę podobni się stajemy do dziecka, które pyta aby pytać, a nie aby coś zrozumieć. Ale jeżeli ktoś którekolwiek z tych pytań na tyle dobrze przemyśli, aby je sensownie sformułować, to znajdzie i odpowiedź. Tu przypomnę tylko, że Pismo Święte rozdział mówiący o złych duchach kończy słowami >>Wszystko kiedyś będzie pochwalone<< (Syrach 39:34) *brat Paweł*



DWA AFORYZMY

*Powiedział Pan do pagórków
W korony nie strójcie brwi swoich
Albowiem ja jestem
Panem i stwórcem dolin*

* * *

*Powiedział Pan do śniegu
Nie płacz pod okiem słońca
Albowiem cieni znajdziesz moc
W sercach, co stronią od grzechu*

Jan Stalony-Dobrzański

=====

=

O DZIECIACH, ZWIERZĄTKACH I PRZYJACIOŁACH

KTO JEST DZIECKIEM BOŻYM?

- Ci, których prowadzi Duch Boży.
- A dlaczego odpowiadasz mi „ci”, a nie „ten”?
- Bo ci, których prowadzi Duch Boży, trzymają się razem.
- A dlaczego?
- Bo się miłują, bo służą sobie wzajemnie, bo chcą się wzajemnie uzupełniać.
- Co to znaczy „uzupełniać”?
- Każdy otrzymuje swój dar i służy nim pozostałym.
- Aha!

CZY ZWIERZĄTKA DOMOWE SĄ POTRZEBNE?

- Jedni chcą mieć, drudzy nie.
- Ale czy Pan Jezus miał je?
- Nie wiadomo.
- A czy dobrze, kiedy ludzie mają w domu zwierzątka?
- Biblia nic o tym nie mówi.
- A przecież psychologowie mówią, że zwierzątka zmniejszają poziom stresu.
- Psychologowie zajmują się ludźmi ze świata, a my jesteśmy na nowo narodzeni z wody i Ducha Świętego, dlatego nie odnosi się to do nas.

- A może coś ze zwykłego człowieczeństwa, ze świata zostało jeszcze w nas?
 - Tak, chyba dużo zostało, ale Biblia się tym nie zajmuje.
 - A czy Pan Bóg woli świętych hodujących zwierzątka?
 - Nie wiadomo.
 - Czy ludzie są tak dużo ważniejsi?
- Tak, bo ludzie mogą się narodzić na nowo.

CZY PIES JEST NAJLEPSZYM PRZYJACIELEM CZŁOWIEK?

- Człowiek chyba nie zawsze jest najlepszym przyjacielem psa. Ale kto mógłby nim być? Może drugi pies? Człowiek ma już przyjaciela - jest nim każdy święty, zatem nie ma co szukać jakichś nowych przyjaciół.
- Pies wyprowadza pana na spacer - do tego służy smycz. Pan czasami odczepia smycz i wtedy pies daje dobry przykład, że trzeba biegać i cieszyć się zieloną trawką. Potem pies prowadzi pana przed telewizor i tam razem oglądają różne ciekawe programy. Chyba można powiedzieć, że to wiele. Pies nie poucza pana, udaje że rozumie kiedy się do niego mówi. Jest zatem wzorem prawdziwego przyjaciela.

Jan Jasnorzewski

=====

przeżyć liturgię... ☺☺☺☺☺☺

MSZA ŚWIĘTA A ROZWÓJ CZŁOWIEKA

Jest rzeczą osobliwą, że Msza Święta jakby nie posiadała nazwy. Chrześcijanie greccy nazwali ją po prostu *leitourgia* (*leiturgia*, od czego poszedł nasz wyraz 'liturgia') co oznacza społeczną, bezpłatnie wykonywaną pracę, nie mówi się tu jaka to praca. Łacinnicy kończyli Mszę Świętą słowami *ite missa est*, co znaczy 'idźcie została zanesiona'. Co zostało „zanesione”? - o tym się przez szacunek nie mówi. Stąd

wyraz 'missa' stał się nazwą tego nabożeństwa i został przeniesiony do wielu języków. My też po polsku mówimy 'Msza Święta' co jest zdecydowanie nazwą zastępczą, nie ujmującą istoty rzeczy. Co się dzieje, a jeśli nie zawsze się dzieje, co się ma dziać w czasie Mszy Świętej? Człowiek ma się przybliżyć do Boga. Ma się odbywać wewnętrzna praca w człowieku. Są ludzie którzy świadomie wstąpili na ścieżkę pracy nad sobą. Są inni, którzy nie mają siły, albo nie poznali powodu rozpoczęcia takiej świadomej pracy. Msza Święta ma wtedy pracować w ich podświadomości, musi w tym celu uzewnętrznić swoje działania w symbolach trafiających do tej podświadomości..

Mówię o symbolach, ale pamiętajmy, że wyraz 'symbol' (greckie: *συμβολον*) oznacza widzianą połowę rzeczy niewidzialnej. Symbol to nie jest coś nieprawdziwego, nierealnego. Przeciwnie jest to coś rzeczywistego choć ukrytego. Jest widzialną częścią czegoś, poza czym kryje się coś niewidzialnego. Tak więc wróciliśmy do greckiego określenia liturgii jako bezpłatnej wspólnej istotnej pracy nad rozwojem człowieka. Z tego wynikają dwie rzeczy podkreślane od początku przez ruch mariawicki. Po pierwsze kapłan nie powinien brać zapłaty za odprawienie Mszy Świętej (za przewodniczenie w liturgii), bo wtedy nie będzie to pracą społeczną, a więc nie będzie prawdziwą liturgią. Po drugie Msza Święta jest czymś działającym realnie i dlatego ani przewodniczący, ani uczestnicy nie powinni podchodzić do niej w sposób lekkomyślny, a tym bardziej lekceważący.

Jak wygląda chrześcijańska, świadoma ścieżka pracy nad sobą? Pomijając drugorzędne różnice można ją zawsze podzielić na cztery etapy.

Pierwszy to zapoznanie się ze światem ducha z czytania Pisma Świętego, innych ksiąg natchnionych, oraz nauk takich ludzi, którzy są już dalej na ścieżce. Jest to etap wstępny gdy sami operujemy jeszcze wyłącznie zmysłami fizycznymi. Od łacińskiego wyrazu 'sensus' oznaczającego zarówno fizyczny zmysł postrzegania jak i rozum dyskursywny zdolny opracowywać to, co fizycznie postrzegamy, ten stopień poznania nazywa się w mistyce i wiedzy duchowej *sensacją*. Wyraz sensacja jest tu użyty w innym nieco znaczeniu niż w mowie potocznej. Większość ludzi stoi dziś w swoim rozwoju na stopniu tak zrozumianej sensacji - na stopniu wyjściowym. Dla pragnących się przybliżyć do Boga jest to stopień **przygotowania**.

Drugim etapem jest oglądanie spraw duchowych w obrazach symbolicznych (pamiętajmy: *symboliczny* to nie znaczy *dowolny*, *nieprawdziwy*). Takie obrazy odbiera się zmysłami niefizycznymi, które się w człowieku mogą wykształcać w miarę jego oczyszczenia. Od łacińskiego wyrazu 'imago' oznaczającego obraz ten stopień poznania nazywamy *imaginacją*, a drogę doń prowadzącą drogą **oczyszczającą**. Nie trzeba dodawać, że wyraz 'imaginacja' jest tu użyty również w sensie różnym od potocznego.

Na trzecim etapie, do którego docierają niektóre dusze wybrane, człowiek „słyszy” nie fizyczne wypowiedane, lecz jakby wewnętrznie wpajane w niego pouczenia. Obrazy przestają być dla człowieka tylko obrazami, zaczyna rozumieć ich głębszą treść. Od łacińskiego 'inspiro', co znaczy 'wpajam', nazywamy ten stopień *inspiracją*, a drogę temu stopniowi odpowiadającą drogą **oświecającą**.

Czwarty etap, do którego nie wielu dociera, daje możliwość zespolenia, mistycznego małżeństwa duszy z Bogiem, („Żyję już nie ja, ale żyje we mnie Chrystus”, jak to określił św. Paweł w liście do Galatów 2:20). Świat zarówno fizyczny jak i duchowy poznaje się wtedy od wnętrza. Poznajemy rzeczywistość nie w jej skutkach, ale w prawdziwych przyczynach. Niejako „wchodzimy do wnętrza” rzeczy. Od łacińskich słów 'intus' ('we wnętrzu' lub 'do wnętrza') i 'itus' ('chodzenie'). Ten sposób poznawania świata nazywamy *intuicją*, a drogę do niego prowadzącą drogą **jednoczącą**.

Nie zawsze te stopnie człowiek musi przechodzić powoli i systematycznie. Bóg może szybko obdarzyć wybraną osobę skutkami przebycia stopni niższych i od razu doprowadzić do poznania duchowej rzeczywistości na którymś z wysokich stopni. Są to jednak wypadki wyjątkowe dane przez Boga w konkretnych, trudnych sytuacjach ludzkości, dla dobra świata. Często są natomiast złudzenia, że ktoś jest obdarzony możliwością percepcji ponadzmysłowej takiego lub innego stopnia, gdy w rzeczywistości trwa na stopniu sensacji z dużą przymieszką fantazji i braku samokrytyki.

Otóż struktura każdej prawidłowej, liturgicznej, tradycyjnej Mszy Świętej - obojętnie w jakim obrzędku - zawsze odpowiada tym kolejnym odcinkom ścieżki rozwoju człowieka. Oczywiście można przyjąć podział tylko na dwie części: Mszę Świętą katechumenów i wiernych., lub

przeciwnie - przedstawić podział szczegółowy na wiele drobnych części. Podstawowymi jednak w każdym tradycyjnym obrządku są cztery: 1) czytania wyjątków Pisma świętego, co odpowiada przygotowaniu na stopniu sensacji, 2) ofiarowanie, gdy ukazują się na ołtarzu i w rękach kapłana ważne symbole patena z chlebem i kielich z winem; odpowiada to drodze oczyszczającej i imaginacji, 3) przeistoczenie kiedy nie tylko widać symbole, ale każdy uczestnik wie, że postać chleba jest odtąd na prawdę Ciałem Zbawiciela, a postać wina stała się Jego Krwią, co odpowiada drodze oświecającej i inspiracji, 4) Komunia Święta gdy uczestnicy jednoczą się z Bogiem co odpowiada intuicji i drodze jednoczącej. Pamiętajmy: Msza Święta nie jest sama przez się drogą rozwoju człowieka, ona tylko pozwala się tej drodze niejako przyjrzeć, niejako wstępnie pojąć ją, ona ułatwia wejście i trwanie w posuwaniu się po ścieżce rozwoju. Przyjmując Komunię Świętą jednoczę się z Bogiem, ale to wcale nie znaczy, że osiągnąłem stopień oglądu intuicyjnego, ja tylko wiem moim zwykłym rozumem dyskursywnym, że przyjąłem na prawdę Boga.

Uczestnik Mszy Świętej nie musi znać przedstawionego tu podziału. Poszczególne części Mszy Świętej działają silniej na tego, kto głębiej rozumie ich wymowę, ale na każdego biorącego w niej udział działają w prawidłowy sposób przez podświadomość, tym silniej im rytuał mszalny jest prawidłowej wykonany.

Opisane tu części Mszy świętej wymagają bliższego omówienia. Od strony dialogu ludzko boskiego zrobił to już brat Tomasz Mames w poprzednim zeszycie „Pracy” (s.17). Inne aspekty postaram się omówić po trochu, szczegółowo w następnych zeszytach. Wpierw chcę jednak wyjaśnić pewną ważną rzecz, która może prowadzić do nieporozumień.

Otóż tradycyjna, Msza Święta mariawicka, z udziałem większej grupy uczestników, odprawia się zawsze na ołtarzu, na którym nad tabernakulum, na tak zwanym tronie, jest wystawione w monstancji Ciało Chrystusa w postaci chleba. Powyżej napisałem, że dopiero chwila przeistoczenia odpowiada (symbolicznie!) wzniesieniu się do świadomości, że oto tu jest Bóg. Czy więc obecność Chrystusa na ołtarzu już od początku Mszy Świętej nie jest pomyłką liturgiczną?

Jedną z podstawowych prawd wiary chrześcijańskiej jest, że Bóg jest wszędzie. W żaden sposób nie powinniśmy więc usiłować usuwać świadomości tej prawdy spośród uczestników Mszy Świętej. W Postaciach

Eucharystycznych Bóg jest obecny w szczególny, fizyczny sposób. Przecież przy pierwszej Mszy Świętej odprawionej przez samego Zbawiciela w czasie Ostatniej Wieczerzy był on obecny cieleśnie od początku, a nie dopiero od chwili przeistoczenia. Co więcej, nie nastąpiłoby przeistoczenie, gdyby Go nie było.

Chrystus podczas Ostatniej Wieczerzy w gronie apostołów wpierw nauczał słowami i przykładem (obmycie nóg, Jan 13:4-5), potem dokonał ofiarowania (>>wziął [...] błogosławił<< i >>dzięki uczynił<< Mateusz 26:26,27), przeistoczenia (>>to jest Ciało Moje<<, >>ta jest Krew Moja<< Mateusz 26:26,28) i dał do spożycia pierwszą Komunię Świętą. Wszystkie cztery części Mszy Świętej odbyły się więc nie tylko przy obecności cieleśnej Chrystusa, ale **przez** tę obecność. Dlatego pogląd, że Chrystus nie powinien się znajdować fizycznie w monstancji na ołtarzu w czasie Mszy Świętej jest nieporozumieniem. Jest to zresztą pogląd zupełnie nowy, który się pojawił dopiero w połowie XX wieku.

W każdej Mszy Świętej nie kto inny tylko sam Chrystus prowadzi obrzęd uświęcenia człowieka przez nauczanie, ofiarowanie, przeistoczenie i Komunię Świętą. Kapłan ma tylko daną tę łaskę, że może swymi słowami i ruchami służyć Mu w czasie, gdy On czyni święte obrzędy ważnymi i dającymi błogosławione skutki. Jest prawidłowe, aby uczestnicy Mszy Świętej wpatrując się w Świętą Hostię wystawioną w monstancji rozumieli, że to właśnie przez Boga i Bożą mocą (a nie znikomą mocą człowieka - kapłana) dzieje się to, co się istotnego odbywa przy ołtarzu.

Oczywiście często Msza święta odprawia się bez wystawienia. Gdy jest mało ludzi, gdy w kaplicy nie jest przechowywane Sanktissimum, gdy się odprawia Mszę Świętą polową i w wielu innych podobnych sytuacjach, gdy wystawienie jest niemożliwe. Wtedy z konieczności wierni patrzą tylko na krucyfiks na ołtarzu i na czynności kapłana. Taka Msza święta oczywiście **też** jest ważna i błogosławiona.

Na koniec chcę zwrócić uwagę, że w obrządku bizantyjskim, w jakim na naszych ziemiach według pradawnej tradycji odprawia swoje nabożeństwa Kościół Prawosławny, Sanktissimum wprawdzie nie bywa wystawiane w monstancji, ale znajduje się w puszcze w tabernakulum (w języku cerkiewnosłowiańskim 'darochranitielnica'), które z reguły jest na znacznym podwyższeniu na ołtarzu, lub czasem zawieszane nad ołtarzem

na łańcuchach. Przeważnie jest ono przeźroczyste, szklane, tak że puszkę widać przez cały czas, gdy zasłona świętych drzwi ikonostasu jest odsunięta.

Również Kościół Rzymskokatolicki aż do II Soboru Watykańskiego odprawiał uroczyste Msze Święte przy wystawionym na ołtarzu Przenajświętszym Sakramencie. O ile rozumiem, zaprzestanie tego zwyczaju w drugiej połowie XX wieku było posunięciem taktycznym; miało na celu zachęcenie ewangelików do katolicyzmu.

brat Paweł



RECENZJE, POLEMIKI



Proces usuwania mariawitów z Kościoła Rzymskiego

Redakcja „Pracy” przedstawiła mi do zrecenzowania wydaną w ubiegłym roku książkę księdza profesora Edwarda Warchoła o historii oddzielenia mariawityzmu od Rzymu¹. Książka jest napisana „obiektywnie” z tym, że autor będąc duchownym Kościoła Rzymskokatolickiego, a więc - w przeciwieństwie choćby do duchowieństwa prawosławnego - ma z góry negatywny stosunek do objawień. Wyraz „objawienia” w stosunku do Dzieła Miłosierdzia Bożego pisze systematycznie w cudzysłowie lub używa opisowych zwrotów z których jednoznacznie wynika, że Mateczka „uważała” to czy tamto za objawienie, zaś czytelnik powinien by sobie - zdaniem autora - sam dopowiedzieć, że to przecież objawieniem nie było, tylko złudzeniem. Dlatego też wyraz „obiektywnie” ujęłam w cudzysłów. Ciekawe - czy ksiądz profesor pisząc o powtórzeniu niektórych z tych objawień siostrze Marii Faustynie Kowalskiej też używałby cudzysłowu? Ale nie zamierzam być złośliwą.

Największą zaletą książki jest zebranie i opublikowanie trudnodostępnych lub zupełnie dotąd niedostępnych dokumentów, jak na przykład poufnych, wewnątrzdiecezjalnych rozporządzeń przeciwko mariawitom. Tu trzeba sobie powiedzieć, że Kościół Rzymskokatolicki pozwolił wreszcie opublikować (książka ma *nihil obstat* i *imprimatur* rzymskokatolickiej diecezji radomskiej) również materiały zdecydowanie obciążające ówczesny Kościół hierarchiczny.

Widać, że hierarchia kościelna z przełomu wieków XIX/XX usiłowała najpierw skompromitować ruch mariawicki jako mistyczny. Określenie „mistycy” w stosunku do mariawitów powtarza się stale we wczesnych dokumentach. Gdy się jednak okazuje, że sami mariawici i znaczna część społeczeństwa uważają mistykę za istotną składową życia chrześcijańskiego i tym określeniem nie czują się bynajmniej urażeni, określenie to niknie w dokumentach antimariawickich. W materiałach rzymskich kładzie się teraz raczej nacisk na tezę, że bez posłuszeństwa Kościołowi nie można być zbawionym, a mariawici stawiają wyżej posłuszeństwo objawieniom Bożym niż nakazom biskupów, a w końcu nawet kurialistów rzymskich i samego papieża. Oczywiście ani autor ani cytowane dokumenty rzymskie nie mówią o posłuszeństwie objawieniom Bożym, tylko o uwiedzeniu urojeniami kobiety - to znaczy naszej Mateczki. Gdy jednak oskarżenie o posłuszeństwo kobiecie też się nie okazuje czynnikiem odstraszającym od Dzieła Miłosierdzia, przeciwnicy mariawityzmu przypisują jego siłę akcjom społecznym i usiłują naśladować działalność naszych kapłanów, czyli utworzyć na wzór mariawityzmu kościelny ruch instytucji społecznych, odnowy liturgicznej, nawet żarliwej pobożności kapłańskiej, ale bez mistyki. Prawdziwym rodzyńkiem w zakresie usiłowań stworzenia mariawityzmu bez mariawitów jest list biskupa Jaczewskiego do proboszcza parafii w Grębkowie przytoczony na str. 203 książki księdza Warchoła:

>>Szanowny Księżu!

Po przybyciu do Grębkowa zanim otrzymasz szczegółową instrukcję, proszę byś się zastosował do poniższych uwag.

1) Za spełnienie posług religijnych, nie stawiając żadnych żądań, brać to, co parafianie sami ofiarują.

2) W kościele i konfesjonale przebywać dziennie po kilka godzin na modlitwie przed Najświętszym Sakramentem lub też spowiadając wiernych.

3) Z parafii na krok nie wyjeżdżać, za to nawiedzać wioski i lud do wytrwania w wierze zachęcać.

4) Nabożeństwa otoczyć możebną wystawą dużo świec i lamp itd..

5) W naukach w kościele nie występować wprost bez potrzeby przeciw Mariawitom, lecz wyjaśniać gruntownie a przystępnie prawdy wiary. Po sumie uczyć dzieci katechizmu.

6) Naśladować Maryawitów w dobrem i żyć moralnie i skromnie.

(-) + Biskup Jaczewski

Lublin d.25. Lutego 1906 r.<<

Toż to nieomal opis działalności kapłanów mariawitów. Tyle, że mariawici zaczynali od punktu 6, od życia moralnego i skromnego i z tego wynikały punkty poprzednie, a o „możebną wystawę”, o dużą ilość lamp i świec (elektryczności w kościołach jeszcze nie było) troszczyli się raczej sami wierni niż kapłani. Tak więc objawienie Mateczki, że inni duchowni będą przyjmować kierunek mariawicki zaczęło się - choćby z przymusu - spełniać już w roku 1906, o czym dotąd nie wiedziałam.

Z książki widać wyraźnie, że ruch mariawicki jako oparty na misticzności, na wewnętrznym życiu duchowieństwa i ludu nie mógł się pomieścić w Kościele Rzymskim, którego podstawą jest posłuszeństwo kanonom kościelnemu prawa. Książka nam uświadamia, że przeważnie nie zdajemy sobie sprawy ile energii włożyli ongiś mariawici w wykazywanie uległości, w prostowanie niesłusznych oskarżeń, w tłumaczenie swych istotnych zamiarów i celów. Te istotne cele były jednak zupełnie nieinteresujące dla kurialistów. To też gdzieś od roku 1905 nadzieja na akceptację Dzieła Miłosierdzia Bożego przez Rzym maleje coraz bardziej. Mariawici czynią strania o zatwierdzenie, o jedność już raczej z przekonania, że trzeba wykorzystać wszystkie możliwości dla uniknięcia rozłamu, żeby mieć czyste sumienia. Po coraz nowych obietnicach, które zostają kolejno niedotrzymywane przez Watykan, wiara w sukces przygasa, wreszcie gaśnie zupełnie. To też mariawici po rzuceniu na nich klątwy (ekskomuniki większej) zaśpiewawszy *Ciebie Boga chwalimy* rozpoczynają formowanie własnej organizacji kościelnej. Kto sam przemyśli fakty przedstawione w książce profesora Warchoła,

widzi, że nie była to wina mariawitów. Sam autor usiłuje wprawdzie przedstawić tezę przeciwną. Na s.100 pisze >>...*gdyby mariawici [...] spokojnie i pokornie wprowadzali w życie to co głosili, z pewnością otrzymaliby legalizację dla swojego Związku ze strony Apostolskiej i poparcie miejscowych biskupów rzymskokatolickich*<<. Ze ta teza jest nader wątpliwa świadczy rozwój mariawityzmu w diecezji kieleckiej. Biskup Kuliński jednoznacznie sprzyjał mariawitom. Wykorzystywał ich do wewnątrzdiecezjalnych usług misyjnych zgodnie z ich powołaniem. Gdy rozwiązano Zgromadzenie, pozwolił jego członkom pod swoim okiem wypełniać nadal indywidualnie dawne śluby zakonne. Wydawał pismo „Maryawita” jako diecezjalne pismo popularnoreligijne aż do samego ogłoszenia klątwy, a potem tylko zmienił jego tytuł nie zmieniając zespołu redakcji. Z wyjątkiem dwu mariawitów, którzy weszli w roku 1906 do ponownie zawiązanego Zgromadzenia, pozostali działali nadal prywatnie w diecezji. „Spokojnie i pokornie”, jak tego chce profesor Warchoła. Współpracowali ze swoim biskupem, który też ze swej strony wykazał maksimum dobrej woli². Mimo to, nie tylko dziś, ale już w latach czterdziestych ubiegłego wieku w diecezji kieleckiej nie zostało niczego z idei mariawickich. Podobnie byłoby i w innych diecezjach. Może zostałaby nazwa „mariawityzm”, ale jego duch nie mógłby się ostać. Do podobnych wniosków prowadzi to, co się obecnie dzieje wokół objawień świętej Marii Faustyny Kowalskiej. Istnieje ułożona przez nią koronka, istnieje inspirowany przez nią obraz, powstają sanktuaria. Kto się jednak zastanawia czym jest objawione jej Dzieło Miłosierdzia? „Spokojną i pokorną” Marię Faustynę formalnie zaakceptowano i ukreślono łeb sprawie, którą głosila.

Z drobnych nieścisłości chciałabym się stanowczo sprzeciwić powtarzaniu przez autora starego zarzutu że błędem Mateczki było, >>*że zanoszono do niej publiczne modlitwy za jej własną aprobatą*<< (s.42). Rzeczywiście modlono się do Mateczki za jej życia, podobnie jak ongiś do świętego Franciszka, czy w połowie wieku XX do ojca Pio. Ale Mateczka, podobnie jak tamci, nigdy się nie zgadzała na swój kult. Jako aneks 3 na s. 193-195 autor przytacza litanie do Mateczki zaznaczając że ten druk nie ma podanego roku wydania. Umieszczenie tej litanii zaraz po tekście niejakiego Gajkowskiego sugeruje, że idzie tu o wczesny tekst z okresu kończącego się rokiem 1909, który jest tematem książki. A przecież łatwo ustalić dolną granicę możliwej daty jego wydania. Wskazuje na nią choćby wezwanie litanii >>*Królowo Kapłanek i Biskupek, módl się*

za nami<<. Jest to, jak widać, litania w każdym razie nie wcześniejsza niż z roku 1929, gdy w 8 lat po śmierci Mateczki wyświęcono pierwszą kobiety - kapłanki. Jest to więc dokument charakterystyczny dla czasów przynajmniej o 20 lat późniejszych niż temat książki. Znalazł się tu całkiem bez sensu. Nie dotyczy okresu usuwania mariawitów z Kościoła Rzymskokatolickiego i tym samym niczego nie dowodzi. Przytaczanie tego dokumentu, jako rzekomego dowodu iż Mateczka zgadzała się za życia na jej kult, był już wyknięty autorowi w związku z jego pierwszą książką³ przez Ignacego Stobieckiego⁴. Dziwne, że powtarza ten błąd ponownie.

Błędne jest określenie >>...nie zamierzony udział błąd. O. Honorata Koźmińskiego w powołaniu do życia mariawityzmu<< (s.26). O Honorat na podstawie posiadanych pełnomocnictw udzielił poparcia mariawityzmowi w sposób całkiem świadomy i zamierzony. Można natomiast napisać, że od roku 1904 był niezadowolony z dalszego rozwoju spraw⁵.

Dziwny jest zwrot że >>w latach 1893-1897 Zgromadzenie Kapłanów Mariawitów liczyło już kilkunastu kapłanów pochodzenia rzymskokatolickiego<< (s.33). Jak to pochodzenia rzymskokatolickiego? To przecież byli wówczas aktualni kapłani rzymskokatolicy tak, jak jak i całe Zgromadzenie Mariawitów było rzymskokatolickie. Dziwny jest zwrot >>powstanie mariawityzmu w pierwszym dziesięcioleciu XX wieku<< (s. 9.). Przecież nawet z przytoczonych w książce dokumentów wynika, że ten ruch powstał w ostatnim dziesięcioleciu wieku XIX. Dziwne jest dwukrotne użycie określeń 'prawdopodobnie' wobec faktów które są potwierdzone z wielu stron (s. 92). Można by kwestionować wiele dalszych szczegółów, ale nie wdawajmy się w nie. Przy tak dużym zbiorze dokumentów mogą się w ich opracowanie wkraść błędy, pomyłki i proste lapsusy.

Pozwolę sobie jednak zrobić jeszcze jedną, istotną uwagę. W swojej poprzedniej książce⁶ profesor Warchoła zacytował ośmieszający mariawitów swą formą i treścią rzekomy list otwarty arcybiskupa M. Michała Kowalskiego do biskupa M. Bartłomieja Przysieckiego opublikowany jakoby w „Wiadomościach Mariawickich”. Jak to wykazał brat Paweł⁶, w przytoczonym miejscu „Wiadomości” zamieszczono rzeczywiście list arcybiskupa do owego biskupa, ale zupełnie innej treści. Pracochłonne zaś poszukiwanie tekstu przytoczonego w innych czasopismach mariawickich dało rezultat negatywny. Taki list nigdy opublikowany nie został. Zapytany o zakończenie tej sprawy brat Paweł powiedział mi, że

się pytał księdza Warchoła i ten się tłumaczył, że posłużył się takim materiałem, jaki uzyskał od kogoś, nie zdając sobie sprawy, że jest fałszywy. Powoływanie się na dokument wysłany z palca - w tym przypadku z czyjegoś palca - jest istotnym mankamentem w pracy naukowej. W omawianej obecnie książce autor powołuje się na tę wcześniejszą książkę (s. 14), co dałoby mu okazję do przyznania się do błędu w niej popełnionego. Niestety tego nie czyni. Badacz, naukowiec, może popełnić błąd, ale w świecie nauki jest dobrym obyczajem otwarte przyznawanie się do popełnionych błędów. W tym przypadku odwołanie nie jest bolesne, bo można - zgodnie z prawdą - zrzucić winę na nieuczciwego dostarczyciela materiałów. Oczekuję, że ksiądz profesor Warchoła jest uczciwym naukowcem i wykorzysta choćby łamy „Pracy nad sobą”, aby swą pomyłkę odwołać.

* * *

Ogólnie biorąc ukazanie się omawianej książki trzeba przyjąć z uznaniem. Jest niewątpliwie lepsza od poprzedniej z roku 1997. Mariawita nie mógłby jej napisać chociażby dlatego, że nie łatwo byłoby mu dotrzeć do personalnych dokumentów w rzymskokatolickich archiwach diecezjalnych. Nie dziwny się też, że autor jest zdecydowanie negatywnie nastawiony do objawień. Takie jest stanowisko większości duchowieństwa rzymskokatolickiego i - pamiętając o tym - tym wyżej trzeba ocenić wysiłki autora aby książka była napisana obiektywnie. Pełny obiektywizm w pracach historycznych, zwłaszcza w tematach, gdzie nie wygasły jeszcze emocje, jest bardzo trudny. Obszerne aneksy, przedruk licznych dokumentów mówiących same za siebie, a zajmujących aż 131 stron dzieła są jego najważniejszą częścią. Każdy więc może sam wyrobić sobie sąd o wydarzeniach, którym książka jest poświęcona.

Tatiana Romanenko

¹ Edward Warchoła *Proces wydzielania się Związku Mariawitów Nieustającej Adoracji Ubiągania z doktrynalnych i organizacyjnych ram Kościoła Rzymskokatolickiego*, Wydawnictwo Diecezjalne Sandomierz 2003, 328 stron.

² Patrz: były student, *Mariawici w diecezji Kieleckiej*, „Praca nad sobą” z.24 s. 21. 2002.

³ Edward Warchoła, *Starokatolicki Kościół Mariawitów w okresie II Rzeczypospolitej*, Wydawnictwo Diecezjalne Sandomierz 1997, 248 stron.

⁴ Ignacy Stobiecki, *Historie Mariawickie według Edwarda Warchoła*, „Praca nad sobą” z.11 s.23.

⁵ Ta sprawa jest dość dokładnie omówiona w rozdziale III książki Sławomira Gołębiowskiego *Św. Maria Franciszka, Feliksa Kozłowska, 1862 - 1921, Płock 2002*, s.27-47.

⁶ brat Paweł, *O mariawitach materialystycznie* „Praca nad sobą” z.9 s.28, 1998

Mariawityzm w dyskusji akademickiej

- na marginesie artykułu M.Karasa „Mateczka - Boska Parakletka...”¹

Historia mariawityzmu, jako wyznania wyodrębnionego na gruncie polskim, stała się w ostatnim dziesięcioleciu przedmiotem szczególnej refleksji w wielu ośrodkach akademickich, Owocem prac badawczych było powstanie dość interesujących publikacji z zakresu teologii, socjologii, etnologii, historii, czy religioznawstwa². Niestety dotychczasowe publikacje poświęcone Dzielu Wielkiego Miłosierdzia tylko w stopniu minimalnym dotykają istoty doktryny czy liturgii kościołów mariawickich. Największą część opracowań dotyczy zagadnień związanych z Kościołem Starokatolickim Mariawitów. Do nielicznych publikacji traktujących o Kościele Katolickim Mariawitów należy studium dr Marcina Karasa o nowej nauce trynitarniej we wspólnocie felicianowskiej.

Poruszana przez niego problematyka została podzielona na cztery części: powstanie felicianowskiego nurtu w mariawityzmie, nowa doktryna trynitarna, kult Mateczki Kozłowskiej i ostatnia, obejmująca wnioski.

Autor prezentując krótko rys historyczny Kościoła Katolickiego Mariawitów, dotyka przy okazji również zagadnienia literatury przedmiotu. *Nauka teologiczna - pisze M. Karas - felicianowskiej gałęzi mariawityzmu jest bardzo mało znana*. Nielicznymi źródłami są publikacje z lat 1935 - 1939 oraz praca Z dziejów Królestwa, *Brewiarzyk Mariawicki* i czasopismo *Królestwo Boże na Ziemi*³. Myślą przewodnią prezentacji doktryny trynitarniej jest ukazanie nowego rozumienia dogmatu Trójcy Świętej (wcielenie się Trzech Osób Boskich i ich obecność w Eucharystii) oraz artykulacja elementów feministycznych⁴ w teologii (kapłaństwo

niewiaśt, Mateczka - Boska Parakletka, Maryja - Ojciec Niebieski). Prezentacja treści jest bardzo przejrzysta i logiczna. Dzięki licznym odwołaniom do literatury oraz objaśnieniom, czytelnik może się bez trudu podjąć analizy kontekstów poruszanej problematyki. Dyskurs, jaki prowadzi M. Karas może się stać interesującym przyczynkiem do refleksji na przykład nad liturgią czy teologią mistyczną Kościoła Katolickiego Mariawitów.

Pozwolę sobie i ja wejść w dyskurs z tekstem M. Karasa i podzielić się kilkoma uwagami. Otóż już we wstępie artykułu Autor stwierdza, iż zwolennicy mariawityzmu *deklarowali pragnienie naśladowania życia Najświętszej Maryi Panny*. Po tym zdaniu nie następuje jednak uzupełnienie, iż mariawici uważali za główny cel szeregienie czci Przenajświętszego Sakramentu. Czytelnik nie znający treści zawartych w Objawieniach Mateczki mógłby wysnuć błędny wniosek, iż charyzmat mariawicki dotyczy li tylko naśladowania życia Maryi Panny. Również nie mogę się zgodzić z twierdzeniem Autora dotyczącym kapłaństwa niewiaśt. Kapłaństwo kobiet zostało *wprowadzone do niepodzielonego jeszcze Kościoła mariawickiego u schyłku lat dwudziestych - jak czytamy - następnie zlikwidowane w Płocku po rozłamie (...) a w Felicianowie kontynuowane do dnia dzisiejszego*. Analizując literaturę dotyczącą stosunku denominacji plockiej mariawitów do kapłaństwa niewiaśt nie spotkałem się z określeniem, że zostało ono zlikwidowane. Synod Kościoła Starokatolickiego Mariawitów uznał kapłaństwo siostr za ich prywatną instytucję, zaś obowiązki duszpasterskie i zarząd parafiami powierzył kapłanom - mężczyznom. Co prawda siostry rzekły się kapłaństwa dla dobra Kościoła, jednak nie oznaczało to bynajmniej jego likwidacji, bowiem Synod nie kwestionował ważności prezbiteratu siostr⁵. Do dziś sprawa jest otwarta⁶. Dyskusyjnym wydawać się może również stwierdzenie Autora, że tylko za pośrednictwem Mateczki można otrzymać Łaskę Bożą. Opracowania, na które się powołuje, wskazują na tekst źródłowy, jakim są Cztery Artykuły Wiary (*Mariawici wierzą*). Artykuł trzeci mówi wyraźnie, iż w ręku Mateczki *jest miłosierdzie dla całego świata i nikt bez jej pomocy i pośrednictwa miłosierdzia nie dostąpi*⁷. Wniosek jest taki, iż posłannictwo Mateczki było i jest konieczne dla otrzymania przez ludzkość Dziela Wielkiego Miłosierdzia oraz, że Ofiara Mateczki jest ową *pomocą i pośrednictwem* w dostąpieniu Łaski Bożego Miłosierdzia. Takie rozumienie nie prowadzi do dwuznaczności

egzegezy artykułu trzeciego. Jeśli ktoś prosi o łaskę Miłosierdzia, otrzyma ją przez ręce Mateczki, nawet kiedy modląc się o nią „pominię” pośrednictwo Marii Franciszki⁸.

Wskazane przez mnie trzy dyskusyjne fragmenty pracy M. Karasa dość dobrze okazują trudności, jakie napotykają badacze chcący się podjąć analizy doktryny - w tym przypadku - Kościoła Katolickiego Mariawitów. Trudności z dotarciem do interesujących źródeł bibliograficznych, duże rozproszenie literatury, czy kłopoty z rozumieniem swoistego języka teologii, wypracowanego przez mariawitów są jednymi z wielu problemów stojących na przeszkodzie ukazaniu istoty opisywanych zjawisk. Domniemuję, że podobne bariery stoją przed naukowcami opisującymi doktrynalne i liturgiczne aspekty Kościoła Starokatolickiego Mariawitów. Jest oczywiste, że w dużej mierze przyczyniła się do tego literatura propagandy antymariawickiej. Jednak istotne braki w tej kwestii należy dostrzec również w małej liczbie publikacji wydawanych przez oba ośrodki kościelne: plocki i felicianowski. Sądzę, że istnieje wyraźna potrzeba opracowania, na odpowiednim poziomie merytorycznym, prawa kanonicznego, doktryny oraz liturgii zarówno Kościoła Katolickiego Mariawitów, jak i Kościoła Starokatolickiego Mariawitów. Stworzy to podwaliny pod obiektywną i rzeczową dyskusję akademicką oraz - być może - przyczyni się do zbliżenia tych obu denominacji kościelnych.

Tomasz Mames

¹M.Karas, *Mateczka - Boska Parakletka, Zbawicielka Świata, Nowa nauka trynitarna w felicianowskim nurcie mariawityzmu*, w *Religie i religijność w Polsce*, „Studia Religiologiczne”, zeszyt 34, J. Drabina (red.), Kraków 2001.

²Dla przykładu mogę wskazać Uniwersytet w Białymstoku, Uniwersytet Jagielloński, Uniwersytet Łódzki, KUJL w Lublinie, czy warszawskie uczelnie: UKSW i ChAT.

³M. Karas pisząc tekst o nauce trynitarną w 2001 roku nie znalazł jeszcze pracy abp M. Rataela *Pisma wybrane. Dzieło Bożego Ratunku* (Felicianów 2003)

⁴W dyskursie akademickim wyraz *feminizm* nie zawiera pejoratywnych konotacji i jest uważany za określenie jednego z nurtów filozofii emancypacji.

⁵*Główne zasady wiary i ustroj Staro-Katolickiego Kościoła Mariawitów*, Plock 1936, s.9.

⁶*Kościół Starokatolicki Mariawitów, z siedzibą w Plocku, ze względu na odmienne wówczas w tej kwestii stanowisko Unii Utrechtskiej zawiesił w czynnościach kapłańskich wyświęcone już siostry zakonne i zaniechał dalszych święceń*. Cyt. za P.J., *Z życia innych Kościołów*, „Mariawita”, nr 7-9 /2003

⁷Cyt. za bp M.R. Wojciechowski, dz.cyt. s.62.

⁸Podobnie modląc się do Boga Ojca o dar mądrości, otrzymamy go tak samo, jak byśmy się modlili o niego do samego Ducha świętego.

=====

Nasza redakcja otrzymała list z prośbą o zamieszczenie następującego ogłoszenia partyjnego (sic!), której to prośbie po dogłębnym namyśle czynimy zadość.

DEKLARACJA P P P P i P

Ogłaszamy utworzenie nowej organizacji partyjnej: Polskiej Partii Pragnących Porządku i Przyzwoitości.

Trapieni nieuczciwościami, defraudacjami, kradzieżami, kumoterstwem i innymi przejawami utraty przyzwoitości, która przygnębia i pognębia w życiu codziennym, oraz stałym narzekaniem na innych, postanawiamy zacząć od siebie samych i stworzyć partię ludzi zachowujących się przyzwoicie.

Partia nie posiada siedziby, władz ani sekretariatu

Nie prowadzi spisu członków

Nie rejestruje członków nowo przystępujących

Nie przedstawia własnych list w żadnych wyborach

Nie działa tłumnie i odświętnie, ale pojedynczo i codziennie

Do Partii wstępuje się przez złożenie samej (samemu) sobie następującego przyrzeczenia:

PRYZRZECZENIE P P P P i P

Postanawiam:

-nie kłamać w sprawach urzędowych - nawet wobec urzędu skarbowego - ani w prywatnych (mogę czegoś nie powiedzieć, zatrzymać wiadomość dla siebie, ale to, co mówię ma być prawdą),

-nie popierać osoby niewłaściwej na dane stanowisko tylko dlatego, że ją lubię, lub że mam wobec niej zobowiązania,

-nie podejmować się funkcji, do których nie dorosłem (nie dorosłem)

-nie dać żadnej by najmniejszej łapówki za załatwienie jakiejś sprawy,

-nie przyjmować prezentów, za które ktoś będzie oczekiwał ode mnie uprzywilejowania go w zakresie moich uprawnień.

-oddawać w terminie rzeczy pożyczone - również książki,

-nie dawać obietnic, których może nie będę mogła (mógł) dotrzymać.

Jeśli z dawnego przyzwyczajenia przestąpię przez niewagę którąś z tych obietnic, jako pokutę zastąpię chlebem i wodą jeden z posiłków dnia.

Członkowie PPPPiP działają tajnie, nie wyróżniając się z tłumu. Jeśli jednak ktoś - patrząc na ich postępowanie - domyśli się kim są, powinni się przyznać do członkostwa i tego kogoś zachęcić również do wstąpienia do PPPPiP.

zamiast komitetu organizacyjnego

Dominika



LISTY DO REDAKCJI



CO DOSTRZEGAM W
MARIAWITYZMIE ✍

Stałem się entuzjastą Mariawityzmu, ponieważ tam znajduję Kościół mojego dzieciństwa, skromność i żarliwość. Niestety odnoszę wrażenie, że sami mariawici nie doceniają swojej

atrakcyjności i żyją w strachu przed pożarciem przez Wielkiego Katolickiego (Rzymskiego) Brata. Nie zauważają, że Rzymsko Katolicki Kościół stoi w obliczu kryzysu spowodowanego arogancją i chciwością instytucji. Rzymscy Katolicy będą szukać azylu w mariawityzmie, a mariawici mogą im ten azyl dać z całym bogactwem przedsoborowej liturgii i tradycji maryjnej.

Jestem pilnym czytelnikiem „Pracy nad sobą”. Zafascynowała mnie postać męczennika św. Marii Michała Kowalskiego, który podobnie jak św. Maksymilian Kolbe poniósł śmierć męczeńską z rąk niemieckich oprawców. W okresie prześladowań i masowych męczeństw męczeństwo określało świętość. Niemcy dobrze wiedzieli „kto jest kto” i mordowali najlepszych. Św. Michał nie ukrywał się, tylko dał świadectwo najwyższej wagi, nie zapierał się ani Wiary, ani Narodu. Niech będzie pochwalone imię jego.

Po latach okazuje się, że tak zwalczane jego reformy owocują w innych kościołach. Na przykład w *Armii Zbawienia* seminaria duchowne opuszczają małżeństwa pastorów i idą służyć biednym bliźnim.

Proszę o słowo otuchy i wsparcie na łamach lub w prywatnym liście

Antoni Jasnorzewski

Prosi Brat o słowa otuchy, choć to my właśnie znajdujemy otuchę w Jego słowach. Słusznie Brat zauważył strach przed Kościołem Rzymskim, jaki panuje w pewnych mariawickich kręgach. Gdy powstała *Komisja Mieszana* rzymsko-mariawicka, pojawiły się wypowiedzi, że to będzie początek „sprzedania mariawityzmu” i nawet niektórzy wyznawcy Dzieła Miłosierdzia zaczęli podejrzliwie patrzeć na naszych uczestników w tej komisji. A przecież komisja ma za zadanie właśnie spowodować jasne określenie różnic między poglądami rzymskimi i mariawickimi i zobaczyć w jakim stopniu te dwa wyznania mogłyby współpracować. Sprawa „unii”, lub innej postaci wchłonięcia nas przez „Wielkiego Brata” od początku nie jest w ogóle brana pod uwagę. Dotychczasowe posiedzenia Komisji wykazały bogactwo myśli mariawickiej i mariawickiej praktyki duszpasterskiej (praktyka liturgiczna nie była dotąd tematem obrad). Byłoby naszą prawdziwą radością, gdyby idee Dzieła Miłosierdzia Bożego, którymi mariawici kierują się od roku 1893, a które Kościołowi Rzymskiemu zostały zapomniane w latach 1931-1938 przez św. Marię Faustynę, zostały przez ten Kościół zrozumiane, przyjęte nie tylko

powierzchni i pozwoliły mu na wyjście z pogłębiającego się kryzysu. Zdajemy sobie zarazem sprawę, że odznaki kryzysu pojawiają się dziś we wszystkich wyznaniach chrześcijańskich, również w kościołach i zgromadzeniach mariawickich. Pogłębienie znajomości idei i stałe dostosowywanie praktyk duszpasterskich do aktualnych potrzeb jest więc pilną naszą potrzebą wewnętrzną. Osoby, które tak jak Drogi Brat, przychodzą do nas z zewnątrz, mogą nam w tym pomóc widząc pewne sprawy ostrzej niż my – od dawna tkwiący we środku. Dziękujemy więc za słowa otuchy i prosimy również o krytykę tego, co u nas nie jest jak być powinno.

Staramy się zawsze pamiętać, że Kościół Chrystusowy jest jeden i jednoczy wszystkich świadomych zbawczej Mocy Chrystusowej, zaś istnienie wielu organizacji kościelnych nie jest niczym złym, jeśli je tylko łączy wzajemna życzliwość (chciałoby się napisać „miłość”, ale ten wyraz jest dziś tak bardzo nadużywany...) i świadomość wspólnej pracy dla budowania Królestwa Bożego na ziemi.

Postać arcybiskupa M. Michała Kowalskiego staje się tym bardziej fascynująca im więcej czasu upływa od jego męczeńskiej śmierci. Potrzeba obiektywnego historycznego i teologicznego opracowania tej postaci. Zanim ktoś tego dokona staramy się od czasu do czasu publikować przyczynki na jego temat.

Redakcja

POCZĄTEK ROKU LITURGICZNEGO

Nie mogę się zgodzić z przypiskiem redakcyjnym do artykułu Antona Kimpflera (zeszyt 32 s.13), że tylko „pierwsi mariawici przyjmowali za początek roku Wielkanoc, [...] (lecz) potem przeniesiono ten początek na Wielki Czwartek”. Starsi mariawiccy kapłani uczyli mnie zawsze, że Wielkanoc jest początkiem liturgicznego roku mariawickiego. Tak jest w *Mszale Eucharystycznym*, którego wydanie z roku 1929 jest do dziś miarodajne dla Kościoła Mariawitów. Również, w *Brewiarzu Eucharystycznym*, wydanie drugie z 1981 roku obowiązującym w Zgromadzeniu Mariawitów, dla

którego to Zgromadzenia *Elwit* wydaje „Pracę nad sobą”, w części *Oficja świąt ruchomych* podane jest na początku oficjum wielkanocne. Czyżby redakcja „Pracy” oderwała się od Zgromadzenia? Trzy dni poprzedzające Wielkanoc, to jakby długa, trzydniowa wigilia tego święta. Nie mówimy, że okres Bożego narodzenia zaczyna się 24 grudnia, ani że okres Zielonościwkowy od soboty, choć są to liturgicznie wigilie tych świąt. Podobnie okres wielkanocny nie zaczyna się od Wielkiego Czwartku, choć te trzy dni Wielkiego Tygodnia przygotowują w istotny sposób Wielkanoc. Popraw się Redakcjo!

były student

Dziękujemy za wytknięcie nam braku precyzji. W krótkim przypisku nie było miejsca na napisanie wszystkiego. Piszac, że Wielki Czwartek jest początkiem roku liturgicznego w Kościele Mariawitów, chcieliśmy krótko wyrazić to, że nie czekając Niedzieli Zmartwychwstania, na ten dzień zmienia się obrusy ołtarzowe i całość bielizny kielichowej, że się wszystko już przygotowuje do Wielkanocy, jak również i to, że znaczenie Wielkiego Czwartku – dnia ustanowienia Eucharystii, którego wspomnieniem liturgicznym są wszystkie czwartki w ciągu roku – jest dla mariawitów zupełnie szczególne. Oba wydania *Brewiarza eucharystycznego* zaczynają przecież oficja dni tygodnia od czwartku. Ale rzeczywiście pisząc odsyłać wprowadziliśmy zbyt uproszczenie. Z kolei mamy pewne wątpliwości czy trzy dni stanowiące „triduum” Wielkiego Tygodnia – Wielki Czwartek, Piątek i Wielką Sobotę – można uważać po prostu za pewnego rodzaju kilkudniową wigilię Wielkanocy. Te dni mają swoje własne, treści głębsze niż wigilie Zesłania Ducha Świętego, czy Bożego Narodzenia w stosunku do następujących po nich świąt. Chyba krótko się nie da ująć istoty tej rzeczy.

Redakcja

=====

=

ZAWARTOŚĆ ZESZYTU

brat Teodomir - **Jak mam być ekumenistą?** - s.1

Aleksander Korwin-Szymanowski - **Złoto pierwszej próby** - s.5

brat Paweł - **Czy się można samemu zbawić?** - s.5

Jan Stalony-Dobrzański - **Dwa aforyzmy** - s.12

Jan Jasnorzewski - **O dzieciach, zwierzątkach i przyjaciotach** - s.13

Dominika - **Deklaracja P P P P i P** - s.27

PRZEŻYĆ LITURGIĘ

brat Paweł - **Msza Święta a rozwój człowieka** - s.14

RECENZJE, POLEMIKI:

Tatiana Romenko - **Proces usuwania mariawitów z Kościoła Rzymskiego** -

s.19

Tomasz Mames - **Mariawityzm w dyskusji akademickiej. Na marginesie artykułu M. Karasa *Mateczka - Boska***

Paraklet ~~MASTY~~ DO REDAKCJI:

Antoni Jasnorzewski - **Co dostrzegam w mariawityzmie** - s. 29

i komentarz redakcji - s.29

były student - **Początek roku liturgicznego** - s. 30

i komentarz redakcji - s.31

=====

PRACA nad sobą - aperiodyk mariawicki. Dostępny tylko w prenumeracie. Ukazuje się nieregularnie w miarę napływu materiałów. Dla Zgromadzenia Mariawitów wydaje F.H.U. ELWIT w Rzeszowie. Redaguje: kolegium. Redaktor wykonawczy: brat M. Paweł Rudnicki. Za treść artykułów odpowiadają autorzy; nie musi ona odzwierciedlać przekonań redakcji. Adres redakcji i administracji: ul. Św. Sebastiana 10 m. 14 - 31-049 Kraków. Krajowa prenumerata redakcyjna, obejmująca dowolne cztery kolejne zeszyty wynosi 16 zł, lub pięć kolejnych zeszytów - 20 zł. Należność należy przesyłać pod adresem redakcji *wyłącznie* listem w postaci drobnych znaczków pocztowych (o wartości nie większej niż 1,25 zł) podając dokładny adres nadawcy. Można też prenumeratę opłacić osobiście w redakcji. Wysokość prenumeraty zagranicznej za 5 kolejnych zeszytów pocztą zwykłą wynosi - 10 euro; pocztą priorytetową (lotniczą) w obrębie Europy - 15 euro, poza Europą - 25 dolarów USA, lub ich równowartość. Wpłaty z zagranicy należy przysyłać międzynarodowy przekazem pod adresem redakcji. Podana tu wysokość prenumeraty obowiązuje w ciągu czterech miesięcy od miesiąca ukazania się tego zeszytu i może potem ulec zmianie w miarę wzrostu cen papieru, druku, kursów walut lub opłat pocztowych. Osoby, które opłaciły już wcześniej prenumeratę, otrzymają jednak opłacone przez siebie zeszyty bez dopłaty. Dla uniknięcia nieporozumień osoby zamawiające „Pracę nad sobą” po raz pierwszy, zechcą zaznaczyć od którego zeszytu mamy rozpocząć wysyłkę.